



DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

Kto był twórcą fresków w kościele Antokolskim św. Piotra i Pawła.

Nasi poczciwi, domorośli „amatorzy starożytności“ z pierwszej połowy ubiegłego stulecia każdy lepszy obraz włoski z XVII stulecia wiązali z nazwiskami dwóch malarzy: weneccjanina Tomasza Dolabelli i wykształconego w Neapolu Marcina Altomonte. Późniejsze badania wykazały bezpodstawność stosowania tego rodzaju uproszczeń w dziedzinie historii sztuki w Polsce, niemniej jednakże zarówno w tradycji, jak i we wszelkiego rodzaju opracowaniach, przewodnikach, ustaliły się dawne, błędne lub co najmniej niestwierdzone opinie i przekonania.

Bardzo mało znana, niemal całkiem jeszcze niezbadana historia malarstwa na Litwie XVII wieku, stwarzała szerokie pole do mniej lub więcej szczęśliwych domysłów i wniosków.

Jak na południu i zachodzie Polski, w muśnianiu Ambrożego Grabowskiego i Edwarda Rastawieckiego, wszechwładnie panowało nazwisko Dolabelli,—tak na północno-wschodnich kresach pokrywano nazwiskiem nadwornego malarza Sobieskiego—Marcina Altomontego każdy obraz, przedstawiający znaczniejszą wartość artystyczną. Temu to malarzowi przypisywano również freski, zdobiące kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu w Wilnie.

W istocie zaś rzeczy pobyt Altomontego na Litwie jest kwestją niestwierdzoną i opiera się jedynie na pogłoskach nie posiadających żadnego źródłowego umotywowania. Co więcej, komentarze i uzupełnienia dodawane do sprawy rzekomego udziału M. Altomontego w dekoracji kościoła na Antokolu w oświeceniu badań prof. Zygmunta Batowskiego straciły już dzisiaj wszelkie podstawy. Według Grabowskiego, Rastawieckiego i Kraszewskiego—Altomontego sprowadził na Litwę hetman Kazimierz Sapieha i powierzył mu dekorację malarską swego pałacu na Antokolu, oraz kościoła św. Piotra i Pawła w Wilnie. Wymienianie nazwiska hetmana Sa-

piehy w związku jakimkolwiek z budową i dekoracją kościoła na Antokolu jest rażącym błędem, gdyż, jak wiadomo, świątynię tę wzniósł hetman w. lit. Michał Pac w latach 1668—1682. W roku śmierci hetmana Paca, t. j. 1682, wewnętrzna dekoracja kościoła, a więc roboty stiukowe i malarskie były już całkowicie ukończone, tak, że nie zaszła żadna potrzeba kontynuowania prac podjętych przez Paca. Znaczne zasługi około wzniesienia świątyni antokolskiej położył oprócz hetmana brat jego Kazimierz Pac, biskup smoleński i żmudzki. Kościół św. Piotra i Pawła jest przeto rodzinną fundacją Paców, nie posiadającą nie wspólnego z hetmanem Kazimierzem Sapieha.

Jest rzeczą stwierdzoną, nie ulegającą wątpliwości, że w drugiej połowie XVII w. pracowało na Litwie dwóch wybitnych malarzy włoskich, mianowicie Del Bene i Michał Archaniół Palloni. J. I. Kraszewski ustalając nazwiska artystów obcych, zajętych na dworach dwóch najpotężniejszych podówczas rodzin magnackich na Litwie: Sapiehów i Paców, bezpodstawnie wprowadził tutaj nazwisko Altomontego i wywołał późniejsze niejasności i historyczne nielogiczności w tej sprawie. Fakty i dokumenty źródłowe mówią wyraźnie, że nadwornym malarzem hetmana Kazimierza Sapiehy był Del Bene, z pochodzenia neapolitańczyk, oraz wymieniają florentczyka M. A. Palloni, jako malarza rodziny Paców, natomiast o Altomontem akta i zapiski dawniejsze milczą całkowicie.

Postać i twórczość artystyczna urodzonego w Neapolu nadwornego malarza hetmana Sapiehy—Del Bene, dzięki badaniom prof. Z. Batowskiego nad malowidłami w kościele pokamedulskim w Pożajściu, rysuje się przed nami jasno i plastycznie.

Był to artysta „wykształcony retrospektywnie na Weneccjanach XVI stulecia, nieod-

porny wzorem wielu, na wpływy północne z Flamanđji; malarz z poczuciem przestrzeni, z rozmachem, biegły w rysunku, śmiały w pomyślach, kolorysta nienaganny, dekorator utalentowany, jednostka wybitna w mnogiej liczbie malarzy z ostatnich lat XVII stulecia, czyli — przenosząc rzecz w stosunki polskie — z epoki panowania Jana III“.

Dziełem jego są: Malowidła w kościele pokamedulskim w Pożajściu, freski w kaplicy św. Kazimierza przy katedrze wileńskiej. Z pod jego pędzla wyszła również nie istniejąca obecnie dekoracja pałacu antokolskiego hetmana Kazimierza Sapięhy oraz także zniszczona w zupełności dekoracja kościoła jezuitów św. Ignacego w Wilnie.

Bardzo skąpe wiadomości przechowały się o drugim malarzu włoskim, który w epoce Sobieskiego przez czas dłuższy przebywał na Litwie:

Michelarchangelo Palloni urodził się około 1637 r. we Florencji, czy też Ciampi, w miasteczku leżącym w pobliżu stolicy Toskanji. Był uczniem Baldassara Franceschini, zwanego Volterrano (1611 — 1689), wychowanka twórcy barokowego malarstwa Florencji — Lodovica Cigoli.

Data przybycia Palloniego do Polski jest nieznana. Po wyjeździe z Włoch, Palloni utrzymywał za pomocą korespondencji stały kontakt z nadwornym malarzem Medycich we Florencji, z Piotrem Dandini. Część tej korespondencji zachowała się. Dowiadujemy się z niej, że malarz pozostawił we Florencji córeczkę i iż Dandini malował jej portret, który następnie prze-

szła ojcu do Warszawy. W okresie wyprawy wiedeńskiej przebywał Palloni w Warszawie i jak świadczą jego słowa, łączyły go bliskie stosunki z dworem królewskim.

Z innych źródeł wiemy, że w parę lat przedtem, około roku 1677 wszedł malarz w służbę u hetmana Paca i pracował na jego dworze także jako portrecista. Jeden z portretów Michała Paca, pędzla Palloniego znajdował się w zbiorach florenckich.

W okresie wyprawy wiedeńskiej, a więc już po śmierci hetmana Paca, Palloni osiedlił się w Warszawie, później jednakże powrócił na Litwę, gdzie umarł około 1700 r.

Faktem więc jest, że Palloni pracował na dworze hetmana Paca i to w okresie wznoszenia i dekorowania kościoła na Antokolu, oraz, iż w Warszawie widzimy go dopiero po śmierci hetmana, która zeszła się z datą ukończenia ostatecznego kościoła św. Piotra i Pawła. Faktem jest również, że wszelkiego rodzaju źródła archiwalne i druki z XVII w. nie mówią nic o tem, jakoby w tym czasie pracowali także i inni malarze na dworze hetmana. Wniosek stąd jasny: Dekoracja malarska kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu w Wilnie — nie jest dziełem Altomontego, gdyż nazwisko tego malarza współczesnym źródłom jest zupełnie nieznane. Najprawdopodobniej freski zdobiące kościół antokolski wyszły z pod pędzla Michała Palloniego, jedyne go malarza, którego źródła wymieniają łącznie z hetmanem Pacem, fundatorem wspaniałej świątyni na Antokolu.

Dr. Miecz. Skrudlik.

Pamięci dziejopisa oświaty.

W niedługim odstępie czasu uniwersytet wil. postradał dwóch swych niepospolitych dziejopisów; przed czterema laty zmarł przedwcześnie świetnie zapowiadający się jako historjograf ś. p. Ludwik Janowski, dziekan wydziału humanistycznego U. S. B., w dniu zaś 21 czerwca pożegnaliśmy zwłoki honorowego tej wszechnicy Dr. Józefa Bielińskiego, historyka wyższych uczelni Wileńskiej i Warszawskiej. Ś. p. Dr. Bieliński spoczął na naszym po-Bernardyńskim Camposanto, tuż przy starych katakumbach ze zwłokami dawnych artystów sceny wileńskiej: Macieja i Dyonizego Każyńskich. Spoczął nieopodal grobu Karola Rypińskiego, artysty malarza niegdyś ucznia prof. Rustema i autora mnóstwa konterfektów (litografi) profesorów dawnego uniwersytetu wileńskiego.

Na tymże cmentarzu, przed niedawnymi laty spoczęli Ci zasłużeni pracownicy, którym Dr. Bieliński zawdzięczał pewną pomoc w gromadzeniu materiałów do dziejów wyższej uczelni Wileńskiej; jego druhowie serdeczni ś. p. Kazimierz Podernia (historyk) i ś. p. Bolesław Rusiecki artysta malarz.

Bieliński przybył do Wilna w 1882 roku.

Wbrew mniemaniu jego biografów, że Bieliński dopiero w Wilnie rozpoczął badania nad dziejami wszechnicy naszej, wiadomem jest, że już przed tem ogłosił obszerny życiorys prof. A. F. Adamowicza w „Ateneum warszawskiem“ w 1881 r. Bieliński raźnie jął rozdmuchiwać przyduszone popielisko życia umysłowego w Wilnie; właśnie w 1882 r. władze rosyjskie zniweczyły działalność wydawniczą El. Orzeszkowej. Bielińskiego poznałem w 1884 r. i wspólnie z nim poszukiwaliśmy portretów profesorów dawnego uniwersytetu dla zilustrowania jego dzieł o dawnym stanie nauk wyższych w Wilnie. W latach 1898—1899 już wypadło dokompletować ów zbiór wizerunków dla ozdobienia 3 tom. dzieła „Uniwersytet Wileński“.

Wiele tu dopomógł sprawie Dr. W. Zahorski, nadto dopomagał nam artysta malarz ś. p. B. Rusiecki. J. Bieliński energicznie krzątał się w Wilnie przez cały lat dziesiątek nad gromadzeniem znakomitej swej biblioteki. Znaczną pomoc w tej sprawie naukowej nieśli mu ś. p. Dr. Juljan Titius, ś. p. Feliks Zawadzki (ojciec), Dr. D. Refkowski i inni. Cenne materiały zdobywał również Bieliński u antykwaryjuszy: Szewela Kinkulkiņa, Z. Szepsesa i J. Krasno-

sielskiego. Szybko wzbogaciła się jego ogromna wiedza bibliograficzna. Księgozbiór swój, rękopisy, sztychy i rysunki odprzedał Bieliński, opuszczając Wilno, ś. p. Tadeuszowi Wróblewskiemu.

Bieliński pracował konspiracyjnie pisywał pod pseudonimem Dr. Szeligi. Kapitalne swe dzieła, obejmujące historję kultury miejscowej podawał cenzurze jako materiały do dziejów oświaty. Cenną broszurę swą o obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej ogłosił w Krakowie imieniem żony swej Heleny Bielińskiej. Jak surowo obchodziła się z licznymi pracami naukowymi Bielińskiego cenzura warszawska dowodem, iż znakomity artykuł jego o Wilnie w Słowniku Geograficznym obcięto mu do rozmiarów $\frac{2}{3}$ części pracy, a praca ta dowiodła, jak doskonale przygotowanym był Bieliński do ogłoszenia wartościowego dzieła historii Wilna. W 1893 r. umieścił Bieliński w „Kłosach“ ciekawy życiorys byłego profesora Wszechnicy Wileńskiej matematyka Zygmunta Rewkowskiego w znacznej części okrojony przez cenzurę.

Okolicznościowo nadmienmy, że w jednym z przewodników po Wilnie omyłkowo podano przy wzmiance o grobie prof. Rewkowskiego na Rosie, że był on wygnańcem za udział w wypadkach 1863 r. Rewkowski zaś wysłany był z Wilna (w żołdacy) na Kaukaz za sprawę emisariusza Szymańskiego w 1833 r.

Dr. Józef Bieliński kochając sztukę wileńską, badając dzieje jej na tle dziejów uniwersytetu wileńsk. otrzymywał głównie pomoc w cennych wskazówkach art. malarzy ś. p. Alfreda Römpera i Bolesława Rusieckiego. Badał Bieliński i dzieje powstania przepysznego albumu wileńskiego Dr. J. K. Wileczyńskiego, którego życiorys umieścił również w „Kłosach“.

Podając te kilka słów, o mało znanej szerszemu ogółowi, działalności Dr. Bielińskiego w Wilnie, nie zamierzałem wyczerpać całokształtu prac jego z zakresu oświaty, kultruy, bibliografji, zabytków wileńskich i t. p., te bowiem oczekują jeszcze na skrzętne swego badacza.

L. Uziębło.

Pieśni i podania o św. Krzysztofie.

(Przyczynki do kultu św. Krzysztofa w Polsce).

II.

X. Piotr Skarga w znanych „Żywotach Świętych“ podał „Żywot i męczeństwo św. Krzysztofa“, zebrane z rozmaitych historyków kościelnych, greckich i łacińskich, zwłaszcza św. Ambrożego u Suriusza. (Vita et Martyrium S. Christophori per F. Laurentium Surium ex diversis compendiis descripta).

Skarga występuje przeciwko rozpowszechnionym od średniowiecza legendom o św. Krzysztofie, a których nie znalazł u najdawniejszych pisarzy. Oto jego uwagi w tej sprawie: „Co malują i powiadają, iż Święty ten Krzysztof za pokutę u jednej rzeki siedząc, ludzie przenośli, wielkiego a olbrzymiego wzrostu będąc, a iż raz Pana Jezusa w osobie dzieciątka przenośli; o tem nie się takiego u pisarzy kościelnych znaleźć nie może. Malowanie owo jego, które starodawne jest od głupich malarzów ponawiane, duchownie się rozumieć ma, jako każdy chrześcijanin Chrystusa na sobie nosi, który go rządzi i w niebezpieczeńściach strzeże i t. d. Zabobony malarskie szkody wierze św. czynić nie mają; czego dojrzeć ma pasterzów naszych ostrożność“.

Te uwagi X. Piotra Skargi, podane w t. zw. „Obroku Duchownym“, dodawanym do każdego żywotu są bardzo znamienne i charakterystyczne, skoro zważymy, że w roku 1568 król Zygmunt August w Grodnie na sejmie litewskim 15 czerwca potwierdził dawny herb miasta Wilna, t. j. św. Krzysztofa z dzieciątkiem Jezus, oraz że w sprawach publicznych magistrat miał używać tej właśnie pieczęci z dawna używanej

(„utentur sigillo, Civitatis usitato, Sancti Christophori, imaginem continente“). Skarga przybył do Wilna w r. 1573, a więc w kilka lat po tem królewskim potwierdzeniu herbu z wyobrażeniem św. Krzysztofa. Żywoty Świętych pisał Skarga również w Wilnie, gdzie też one i wyszły w drukarni Mikołaja „Chrystopha“ Radziwiłła, marsz. W. Lit. w r. 1579. A Skarga wystąpił wcale ostro przeciwko malarskiemu kierunkowi uzmysławiania legend w tej formie właśnie, jak zwyczajnie i najchętniej idąc za starą tradycją przedstawiano i wyobrażano św. Krzysztofa, i wzywał duchowieństwo do tępienia tego rodzaju zabobonów malarskich, uzmysławiających i symbolizujących legendarnego Chrystonoścę, czyli nosiciela Chrystusa.

Być może, że to wystąpienie Skargi odbiło się do pewnego stopnia i na samym kulcie św. Krzysztofa, właśnie tu, gdzie miał być patronem głównym, to jest na terenie samego miasta Wilna, z którym tak związana była cześć św. Krzysztofa i gdzie od roku 1501 były jego relikwje. I ten fakt już dawniej w literaturze zauważono. Ale tradycja była bardzo dawna i nadto zakorzeniona, aby wyrwać z ogólnej opinji wizerunek św. Krzysztofa brnącego po kolana w wodzie z dzieciątkiem Jezus na ramionach. I w samym Wilnie starodawny herb nadany miastu najprawdopodobniej przez Władysława Jagiełłę pozostał, tak jak widziały św. Krzysztofa stare legendy i pieśni, tak jak go przedstawiały owe stare zabobony malarskie, bo i te cechy charakterystyczne olbrzyma nio-

siącego dziecię Jezus weszły głęboko w serce, duszę i wyobraźnię ludzką. Świętemu Krzysztofowi dedykowano i później jeszcze, bo i w XVIII wieku (Dziwulski Marcei, Franciszkanin i in.) dzieła i książki z wyobrażeniami św. Krzysztofa w miedziorytach i t. d., tak właśnie, jak go przeszłość i tradycja widziały i wyobrażały w legendzie.

Skarga P. mówi, że Chrystofor albo Krzysztof imieniowi temu dosyć czyniąc, nosił Chrystusa na duszy wiara uprzejmą a całą miłością ku niemu; i na ciele w umartwieniu członków swoich, w czystości, trzeźwości, postach i bliźniego posługach i innych pracach dla Chrystusowej miłości podjętych, a potem na wielkiem i srogiem dla Imienia jego męczeństwie, prawnym się nosicielem Chrystusowym pokazał.

Skarga w przedstawieniu żywotu św. Krzysztofa nie chce iść za legendami i podaniami, jakie znał, lecz za źródłami, jakie mu dawali tylko najdawniejsi znani pisarze kościelni. I on mówił o cudach. Krzysztof podpierał nauki swe cudami rozmaitemi, które Chrystus przez niego czynił; między innymi, kij, który w ręku nosił, nie w węża, jako Mojżesz, ale w pięknie zielone i rodzajne drzewo, utknąwszy nim w ziemi obrócił.

Ze wspólnych z „Pieśnią o św. Krzysztofie“ szczegółów, mówi o dwu urodziwych niezrządnicach Nicecie i Akwilinie, które z rozkazu cesarza nawiedziły go w więzieniu, aby go odwieść od chrześcijaństwa. Mówi o ich nawróceniu, a potem męczeństwie. Wspomina o mękach św. Krzysztofa. Naprzód rozpaloną przyłbicę na głowę mu włożono, potem żelazną ławę, tak długą, jak jego wzrost był, postawiono i pod nią ogień wielki uczyniono, a na niej jako rybę do pieczenia rozciągniono i przywiązano świętego, a z wierzehu wrzącym i ognistym olejem polewano. Wreszcie go na pal przywiązać i strzelać do niego żołnierzom kazano. Mamy tu pewne szczegóły wspólne o strzałach nie imających się świętego, o zleczeniu oka krwią jego i wreszcie o ścięciu jego głowy.

Natomiast legenda o św. Krzysztofie, w jej barwach czarownych i fantastycznych przeszła i do skarba poezji ludu naszego i stała się własnością jego wraz z innymi legendami, jakie przysły do nas z Włoch lub Niemiec, mimo, że nie były płodem i wytworem rodzimej jego wyobraźni.

O tak przeszczepionej legendzie opowiada nam Siemieński Eucjan w „Podaniach polskich, ruskich i litewskich“. Zapisał to podanie o „Krysztoforze“ Siemieński, stwierdzając, że rozpowszechniło się ono, równie jak często widzieć się dające posągi Krzysztofora na domach w Krakowie, Kazimierzu i t. d. Znał zresztą Siemieński i pieśń starą o tym świętym i zaznaczył, iż „godną rzeczą postanowienia jest herb miasta Wilna: Krysztofor święty“.

Przed bardzo dawnym, dawnym czasem żył na świecie pewien wielkolud, nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swej rękawicy wyprawił siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jej grób usypać,abrał w but swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne, i wzno-

siła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, skąd onej ziemiabrał, powstała przepaść; a była to przepaść tyle mil głęboka w ziemi, ile mil owa góra nad ziemią sterczała. Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie, a wszystkie łzy jego w otchłań kapały i zrobiło się morze. Dlatego to woda morska jest gorzka i słona.

Potem wyszedł Oferusz na wędrownkę i szukał pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy; u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nie znał wyższego od siebie i nie znał, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz, popisował się ze swoją siłą i został mile przyjęty; nie odstępował odtąd na chwilę boku mocarza i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobało się to bez wątpienia Oferuszowi; postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię djabła. Słyszając to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

— Dlaczego to zrobiłeś?—zapytał się Oferusz, który jeszcze był poganinem i nie znał zwyczajów chrześcijańskich.

— Zrobiłem to dlatego—odpowiedział król, że się boję djabła.

— Kiedy ty się djabła boisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatem służyć u silniejszego pana, zawołał Oferusz i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszcę, w której dnia następnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy na tronie z głów trupich, kości ludzkich i wrzasnął rykliwym głosem: Oferusie! czego szukasz?

— Szukam djabła—odpowiedział nieulekziony Oferusz — ażeby u niego służyć.

— Ja jestem djabełem — rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nie odstępował; a był mu, jak prawa ręka, przydatny.

Pewnego dnia wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała Boża męka. Postrzegłszy ją dowódca, zatrafił co tchu na odwrót.

— Dla czego to zrobiłeś?—zapytał Oferusz.

— Dla tego, mój przyjacielu, że się boję Chrystusa! odpowiedział djabeł.

— Ty się boisz Chrystusa, pomyślał Oferusz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi.

I znowu djabła opuścił; a wędrując po puszczy, napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie! odpowiedział pustelnik; ale poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: jak ja mam służyć Chrystusowi?

— Módl się, a pracuj! rychło zapytany. Modlić się Oferusz nie umiał, lecz umiał pracować. Poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry strumień płynący z góry i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przepawić na drugą stronę, tonie na środku.

— Tobie — mówił pustelnik — dał Bóg

silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróży na swoich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę.

— Zrobię to dla miłości Chrystusa, — zawołał Oferusz i przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnej sosnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnej nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; wtem słyszy głos dziecięcia wołający go trzy razy po imieniu. Wstał więc bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wskoczył we wodę, która dawniej zaledwie kolan mu sięgała. Ale dzisiaj, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła i balwany były z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiął się pod dziecięciem jak pałak, i pierwszy raz w życiu uczył strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł: Dziecię! dziecię! dla czegoż ty takie ciężkie? Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich ramionach!

— Nietylko świat dźwigasz na swoich ramionach, — odpowiedziało dziecię, ale i tego, który świat stworzył. Jestem Chrystus, któremu ty służysz; chrzczę ciebie w imię Ojca, w imię moje i w imię Ducha Świętego. Odtąd nazywać się będziesz Krzysztof, to jest piastun Chrystusa.

Odtąd nazywał się ów wielkolud Krzysztoforem i chodził wzdłuż i wszerz po świecie, aby nauczać słowa Pana swojego, i został za te nauki od pogan ukamienowany.

Z tego co wyżej podałem wynika, jak kult św. Krzysztofa, czczonego przez Kościół stał się rozpowszechnionym i popularnym. Sama zaś legenda o św. Krzysztofie rozrastała się. Do żywota jego, przekazanego przez daw-

nych pisarzy kościelnych, wieki średnie doczepiały coraz to nowe szczegóły, uzmysławiające i symbolizujące bądź to samo imię Krystophoros, bądź też uwielbiające cnoty i zasługi oraz czyny tego świętego, barwami cudownej wyobraźni.

Stąd stał się on wielkoludem i olbrzymem. Już Jakób de Voragine w 13 w. w „Złotej Legendzie“ stopił i połączył najrozmaitsze elementy podań krążących o tym męczenniku. A „Złota Legenda“ stała się niewyczerpanym źródłem natchnienia poetów i malarzy średniowiecznych, oraz specjalnego kultu tych wszystkich cnót i zasług, jakie łączył w sobie ten święty. Wszak prosił on Boga, by miejsce, gdzie ciało jego spoczywać będzie po zgonie, było nawiedzane ni przez grad, ni przez ogień, ni przez pomór ani głód.

Sztuka chrześcijańska średniowieczna lubowała w przedstawianiu wielkiej potężnej jego postaci, w roli jakby strażnika czy opiekuna w przedsionkach kościoła, na ścianach obrazach i t. d., w wystawianiu jego posągów na domach i t. p. Poezja religijna podobnie zajmowała się w średniowieczu postacią tego świętego, a opowieść o nim dawała wątek i pisarzom nowszym.

Wreszcie kult ten przeniknął i do samego ludu naszego, czy z literatury czy też przywędrował z Niemiec (Oferusz = Christ — oferusz, Christophorus, Christoperens, Christophoros), dość, że kult św. Krzysztofa stał się kultem powszechnie znanym w całym swem bogactwie przepyszujący barw i kolorów oraz głębokości uczucia i wiary czcicieli i wielbicieli świętego Krzysztofa.

T. E. Modelski.

Migawki wiejskie.

Kiedy Marcysia została piastunką pannusi Hanusi, wnuczki samego pana dziedzica, trochę jej się w głowie zawróciło. Niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeniesiona została do jakiejś fantastycznej zaczarowanej krainy.

— Jak w bajce, powtarzała sobie w duchu, jak w bajce! Więc to doprawdy ona? Marcysia? ona, co dotąd mieszkała w ciasnej zadymionej chałupinie, spała z siostrami na twardej słomie, teraz ma dla siebie samej kołdrę i poduszkę, wyleguje się na czystej pościeli w przepięknym, jasnym pokoju, gdzie na ścianach ktosik wymalował róże i niezapominajki. Dziwiła się trochę, że ten ktosik połączył te dwa rodzaje kwiatków.

— Boć to przecie każdemu wiadomo, myślała dalej, że róże kwitną w ogrodzie i zrywać ich nie wolno, niezapominajki zaś rosną na łące i one są dla wszystkich; przytem kwiatuszki i te w ogrodach i te inne, niepoczeiwie przekwitają, malowane zaś, są zawsze świeże i nie ma strachu, żeby zwiędły. Odtąd całą sympatję zwróciła do kwiatków na ścianie i wołała je od tych żywych. Zamiast kartofli i poli wajki,

pijała teraz na śniadanie arbatę z cukrem w niebieskim kubku, co na nim kwitła piwonja i jaskry, jadła chleb z masłem, wołałaby, wprawdzie, kawałek słoniny, jak ten, co go dostawała od matuli w wielkie święta, ale nie śmiała się z tem odezwać do nikogo. Bo i komużby się zwierzyła. Jużei nie panu Franciszkowi (był to kamerdyner), ani pannie służącej Oktawji, wyfirkowanej, wystrojonej, szeleszczącej jedwabnymi halkami. Panna Oktawja bardzo nosa do góry zadzierała i z wysoka traktowała Marcysię, której obecność przy pannusi Hanusi uważała za prawdziwy, osobisty despekt. Oboje, z panem Franciszkiem, kiwali głową i wzruszali ramionami na to pańskie dziwaństwo.

— Koniec świata, pani Franciszku, to przecie do niczego niepodobne, żeby się ta Marcysia między nami mijała! Angielka, francuska, suiseska, oto osoby dystygowane, godne towarzystwo dla W-nej panny Anny (panna Anna miała lat dwa). Ale ta wieśniaczka! W tych ordynarnych, wstrętnych wełniakach, co się same oczy od nich odwracają!

Pani Marja, matka Hanusi, nie holdowała

modzie, uważała za rzecz zbyteczną, a nawet szkodliwą otaczać dziecko cudzoziemkami.

— Polskie dziecko, mówiła, niech się chowa pomiędzy swojami, niech słyszy tylko dźwięk mowy ojczystej zamiast, jak papuga, powtarzać obce wyrazy.

Wzięła więc, jako piastunkę do Hanusi, porządną wiejską dziewczynę, do której się dziecko zaraz przywiązało.

Gdy zamiast wypłowiałej spódnicy i perkalowego kaftanika Marcysia dostała śliczne opoczyńskie wełniaki, tkane w barwne pasy i paseczki, gorsecik aksamitny i wyszywaną cienką koszulę, aż oniemiała z zachwyty, zamknęła oczy i bała się ruszyć z miejsca, żeby czar nie przysnął a rzeczywistość nie rozwiła słotego snu.

Na jesieni pojechała Marcysia z państwem do Warszawy i przeżywała bardzo ciężkie chwile zanim potrafiła się przystosować do miejskich zwyczajów. Najstraszniejszym epizodem był jej pierwszy spacer automobilem. Tej piekielnej maszyny nigdy nie widziała, z powodu naszych kochanych polskich dróg, żaden samochód nie był w stanie dotrzeć do zapadłej opoczyńskiej wsi. Nie kto inny, tylko sam Lucyfer porywał ją i Hanusię prosto do piekła! bo ten potwór w okularach tylko z głosu przypominał pana Ignacego, „szyfera“, jak na niego wołali. Trzymała więc kureczowo Hanusię na kolanach, odmawiała ciągle „Pod Twoją Obroń“ i miała wielką ochotę krzyżeć — Ratunku! ratunku! bała się tylko, żeby dziecka nie przestraszyć.

Wróciwszy szczęśliwie do domu zaraz pobiegła do najbliższego kościoła i dała na dziękczynną wotywę do świętego Benedykta, bo ten Święty strzeże od wypadków.

W karnawale przyjechała siostra pani Marji i był wielki bal, rozgardjasz spowodowany tą uroczystością bardzo Marcysi zawadzał, siedziała więc z Hanusią w najodleglejszym pokoju, a to co się koło niej działo bynajmniej ją nieobchodziło. Gdy jednak dziecko zasnęło, a dalekie echa muzyki przedostały się do jej uszu zdjęła ją ciekawość i poprosiła pana Franciszka, żeby jej pozwolił, choć przez dziurkę od klucza, choć przez szparkę we drzwiach popatrzeć, jakto warszawskie dziedzice kulasami wywijają. Na co pan Franciszek łaskawie przystał, a nawet korzystając z chwili wypoczynku, sam patrzył na tańczących.

Marcysi wszystko wirowało w głowie i przed oczami, muzyka, światło postrojone panie, co im na głowie i na szyi błyszczały gwiazdy... Raptem pochwyciła jakieś jej znane słowo! Wodzirej grzmiał donośnym głosem — au retour, cavalier, au retour.

(To co tutaj opisuję działo się na parę lat przed wojną, kiedy jeszcze nie było dancinów, ale bywały bale w domach prywatnych, kiedy tańczono staroświeckie mazury, kotyljony, kiedy to osiłą zabawy był wodzirej i od niego zależało powodzenie zabawy).

— Panie Franciszku! Czego ten dziedzic tak woła o rety! rety?

— Głupiaś Marcysiu! To nie rety, tylko o retur.

— Kiej dokumentnie słyszałam o retyl!

Jużci pewnikiem się tak zmachał chudzioczek, że już więcej nie może.

— Niech Marcysia głupstw nie gada i do wie się, że o retur znaczy nazad.

— O laboga! to ci dopiero po śwabsku szwargoczą! — westchnęła.

— Laboga, laboga, niech pan Franciszek słucha!

— Czego tam znowu?

— Nie słyszy pan Franciszek, że się kawa leje?

Głos wodzireja głośzył muzykę — cavalier, cavalier.

— Jaka tam znowu kawa? — zachnął się pan Franciszek.

— Adyż leje się, leje, ino jej nie widać, kajby była?

Tu pan Franciszek parsknął śmiechem.

— Niech się Marcysia nauczy, że cavalier to jest kawaler.

— O! zawracanie głowy! Jakże on może być kawaler, kiej on żeniaty, dyć go widziałam z żoną u naszej pani!

— U państwa, na balu każdy, co tańczy to jest kawaler.

Westchnęła znowu Marcysia i bardzo się zafrasowała temi pańskimi obyczajami.

— Panie Franciszku! u nas na wsi to jest lepiej, bo kiej chłop żeniaty, to żeby on trzy dni i trzy noce wywijał oberka, to on taki kawalerem więcej nie będzie.

Pod wiosnę pani Marja z porady doktorów musiała jechać na południe, nie chcąc się rozstać z ukochanym dzieckiem, postanowiła wziąć ze sobą Marcysię. Wielki to był cios dla naszej bohaterki kiedy ją ubrali — po ludzku — jak mówiła panna Oktawja, płakała za swojimi wełniakami i gdyby nie przywiązanie do Hanusi byłaby uciekła do matuli. Miłość jednak zwyciężyła i w granatowej sukni, w takim samym płaszczu pojechała, obojętna na wszystko, zapatrzona w Hanusię, myśląc tylko o tem, żeby się dziecku, broń Boże, nie zlego nie stało i żeby być gotową na każde jego skinienie. Do Wiednia było jeszcze jako tako, słyszała polską mowę, a kraj, przez który przejeżdżała, śniegiem pokryty, nie różnił się bardzo od stron rodzinnych. Prawdziwa tragedia rozpoczęła się, gdy pociąg wijąc się wśród niebotycznych gór wpadał z hukiem w ciemne czeluście tunelów, Marcysia oniemiała z przerażenia, drżała jak liść osicyny i jak automat spełniała swe obowiązki. Dopiero koło Genui, gdy Hanusia zatrzepotała rączkami i zawołała tak wesoło — Caca woda, caca, duzia, duzia woda! — ocknęła się Marcysia z odrętwienia.

— O wszyscy święci Pańscy! Pani dziedziecko, dyć to nasza Pilica! — ale jak to ona wylała! przecie drugiego brzegu nie widać!

Mimo objaśnień pani Marji, że to jest morze, nie żadna rzeka, długo jeszcze trwała w swoim mniemaniu, zmieniła zdanie dopiero gdy skosztowała wody morskiej i poczuła jej gorzkawo-słony smak.

— Słusznie i sprawiedliwie powiedziała nasza dziedziecka, to nie Pilica, takie szkaraństwo, to ryctyk woda dla farmazonów.

W hotelu bardzo się Marcysi podobało,

w jej pojęciu ta wielka kamienica należała do jej pani, do której zjechało mnóstwo gości, do wszystkich mówiła „Niech będzie pochwalony J. Chr.“ — bardzo była zgorzonna, że jej nikt nie odpowiadał „Na wieki wieków“. Wogóle ci goście zachowywali się dziwnie, nie witali się z Hanusią, nie unosili się nad jej urodą, a przecie była to wnuczka pana dziedzica, o czem wszyscy powinni byli pamiętać. Z czasem jednak przyzwyczaiła się do tej obojętności i już tylko troszczyła się o to, żeby Hanusia miała wszelkie możliwe wygody i żeby jej nie zaszkodziło. Trafiła nawet do samego kuchmistrza żeby mu wytłumaczyć, stukając widelcem w talerz i pokazując mu nie bardzo dogotowane ziarnka ryżu, że JWielmożna panna Anna nie może jeść takiego świństwa i to tylko dobre dla kur albo dla indyczek. Przemowa ta wygłoszona najczystsza polską gwara, odniosła jednak pożądaną skutek, bo odtąd Hanusia dostawała taki porządek na polsku ugotowany ryż, za co Marcysia przy spotkaniu obdarzała monsieur Gaston słodkim uśmiechem. Stary francuz podkręcał węża i szeptał:

— Jolie fille! dommage quell est sauvage!*)

Te słowa domaż i soważ bardzo Marcysię intrygowały, starała się je zapamiętać, żeby je powtórzyć panu Franciszkowi, bo on to był źródłem wszelkiej mądrości. Uśmiechała się w dalszym ciągu do monsieur Gaston, a tenże czuły na wdzięki niewieście, patrząc na tę hożą dziewczynę, wzdychał — Qui sait? Qui sait? — co Marcysia tłumaczyła po swojemu — Olaboga! a co mu ta znowu kiśnie! I jeszcze bardziej pilnowała, by Hanusi nie podano jakiej zamorskiej zakisłej potrawy.

Pani Marja dopiero w połowie czerwca wracała do kraju, a Marcysia siedziała w wagonie bardzo strapiona, trwożna i milcząca. Z nieopisanem przerażeniem myślała o potwornych górach, strasznych tunelach i długiej drodze do kraju. Hanusia spała, a pociąg dojeżdżając do jakiejś stacji zwalniał biegu. W tem Marcysia zobaczyła coś tak niezwykłego, tak nadzwyczajnego, że ona, obojętna na cudne alpejskie krajobrazy, na szafir morza, na pomarańczowe gaje, gdy drogą idącą wzdłuż toru kolejowego, zobaczyła furę naładowaną snopkami zboża, zapomniała o grożących niebezpieczeństwach, zapomniała nawet o śpiącej Hanusi i takim serdecznym, radosnym głosem zawołała:

— Pani dziedziczko! pani dziedziczko! adyć to latosie (tegoroczne) zboże! latosie zboże kiej złoto! latosie! latosie!

Widok tej furi ze zbożem zatarł w pamięci Marcysi wszystkie wspomnienia podróży. Gdy wróciła na wieś i pozdrowiła matulę, krewnych i znajomych ze zdziwieniem pytała:

— To się u was jeszcze żniwa nie zaczęły? Nie umiała nic innego opowiedzieć, tylko że na własne oczy widziała latosie zboże, co go wieźli do stodoły.

Nikt na wsi nie uwierzył jej słowom.

— Gdzieby tam zaś w czerwcu mogły być żniwa! nawet najstarsi z gromady o niczem podobnem nigdy nie słyszeli.

— Cosik się ta dziewczynie przywidziało! Matula zaś dała na wotywę do cudownej Matki Boskiej Staroskrzyńskiej i przez cały czas nabożeństwa krzyżem leżała i modliła się, żeby jej Marcysia odzyskała zmysły i już więcej o tych żniwach w czerwcu i o latosiem zbożu nie wspominała

Bonifacy Wrzos.

„Choroba“ Dzierżyńskiego.

Przed kilku dniami zamieściliśmy sprawozdanie z przetłumaczonej świeżo na język polski książki p. H. Berauda o czerwonej Moskwie. Poniżej podajemy w streszczeniu szczególnie przejmujący opis spotkania autora ze słynnym szefem „Czeki“ — Dzierżyńskim.

P. Beraud zawarł znajomość z Dzierżyńskim u lekarza chorób nerwowych, zresztą w prywatnem mieszkaniu tego lekarza. P. Beraud utrzymywał z lekarzem stosunki tylko towarzyskie. Nieco inaczej było z p. Dzierżyńskim. Lekarz przedstawił kurtuazyjnie i najzupełniej „burżuazyjnie“ także p. Beraud p. Dzierżyńskiemu. „Dopiero po uściśnięciu dłoni tego człowieka — pisze p. Beraud — poznałem jego przeszłość“.

P. Dzierżyński w sposób pełen nonszalancji mówił, że był prokuratorem Czeki i że w tym charakterze do funkcji jego należało między innymi także prowadzenie skazanych na plac egzekucji.

Wtedy dopiero były francuski sympatyk bolszewizmu zaczął bacznie obserwować dyktatora czerezwyczajki. Dzierżyński siedział naprzeciw niego w bujającym się fotelu przy samowarze. Od czasu do czasu uprzejmie, elegancko częstowano go zakąskami i papierosami. Panował nastrój typowej banalnej towarzyskiej beztroski. „Jest to człowiek — pisze p. Beraud — najzupełniej podobny do innych ludzi, tylko o wyrazie twarzy nieco bardziej słodkim. Wargi jego wyrażały wielką uprzejmość, podobnie jak cała jego postawa, trochę pochylona. Miał w spojrzeniu tę jasność dziecięcą, która jest właściwą prawdziwemu okrucieństwu bez pierwiastków rozkoszowania się, ani miłosierdzia, okrucieństwu abstrakcyjnemu, okrucieństwu fanatyka. Ponad oczami czaszka spłaszczona prawie na poziomie wierzchołków uszów; rzekłbyś, że jego wiara komunistyczna i jego gorliwość kata zwaliły mu się kiedyś na głowę jak cegły. Dyskutował bez roznamiętnienia będąc pewny swojej wiary“.

Spokojnie p. Dzierżyński opowiadał francuskiemu swemu rozmówcy o swojej „działalności“. Opowiadanie to streszcza p. Beraud w w krótkich słowach: „Przez cztery lata mógł, z okropnym spokojem do więzień, gdzie całe rodziny poprostu wyły i załamywały ręce, mógł zstępować nie odczuwając nie poza zadowoleniem nieubłaganie fanatycznego sumienia“.

Czy jednak istotnie nigdy przez ten czas „maż czerezwyczajki“ nie odczuł absolutnie żadnego wstrząśnięcia, żadnej trwogi, żadnej wątpliwości? — rzuce ponure zapytanie były francuski sympatyk bolszewizmu.

*) Ładna dziewczyna, szkoda że dzika.

I zaraz pośpiesza z nagłą, pośpieszną odpowiedzią: „Tak jest. Jednego razu“.

Jednego razu tylko w czasie swojej „karjery“, lecz zato już w niezatarty sposób odczuł jednak p. Dzierżyński to, co w normalnym języku i w stosunku do normalnych ludzi nazywa się wyrzutem sumienia.

Z tego „jednego razu“ otwarcie towarzysko zwierzył się p. Dzierżyński panu Beraud w przyjacielskiem towarzystwie dziesięciu osób „przy samowarze“.

Było to „pewnego poranku długiej zimy“. Prowadził pod mur egzekucji sędziwą kobietę, która przez cały czas bez przerwy płakała i i błagała go o łaskę. Poprosto „bała się śmierci“. W pewnym momencie kobieta padła na kolana, chwyciła dłoń naczelnego kata ustroju i zaczęła obsypywać tę dłoń pocałunkami. Podniesiono ją przemocą i popędzono w dalszą drogą. Szła dalej łkając bez przerwy. Lecz w tym momencie Dzierżyński zauważył nagle, że kobieta była zdumiewająco podobna do jego matki. Pomimo to nie zawahał się ani na chwilę i kazał ją rozstrzelać. Od tego czasu — referuje w dalszym ciągu francuski pisarz opowiadanie Dzierżyńskiego — ta kobieta prześladowa go. Nie może on oderwać jej od swego życia, jest ona wieź przed nim, poprzedza go ciągle na każdym kroku. Nie może on spokojnie spać ani pracować“.

— Dlatego właśnie — wyjaśniał Dzierżyński — teraz chodzę ciągle do lekarza.

W tem miejscu opowiadania ktoś z dziesięciu obecnych przy samowarze z najzupełniej filozoficzną beztróską rzucił „aby cokolwiek powiedzieć“ uwagę:

— Może to wyrzuty sumienia: Dzierżyński — pisze p. Beraud — odpowiedział z gwałtownością:

— Nie, ja jestem tylko chory. Ja nie mam wyrzutów sumienia. Gdyby trzeba było, zrobiłbym jeszcze raz to samo. Lecz, doktorze, błagam was, uwolnijcie mnie od tej zmory.

„Medycyna — dodaje jeszcze p. Beraud — stara się przeciąć tę niewidzialną membranę, która wiąże tę umarłą i tego mordercę“.

Kłosy i osty.

Kobieta przeważnie jest taką, jaką ją chce mieć mężczyzna — mężczyzna takim, jakim go chce mieć kobieta. Jeżeli mężczyzna jest wyższym od kobiety — czy jego to zasługa? Jeżeli kobieta niższą od mężczyzny — czy jej to wina?

* * *

Dlaczego lud woli czytać powieści o wielkich królach, bohaterach niż, z własnej, chłopskiej doli? Ponieważ każdy czytelnik wciela się w postacie z czytanej powieści. Woli więc chłop zostać bodaj na przeciąg kilku godzin wielkim panem, niż w dalszym ciągu klepać zwykłą biedę.

* * *

Nie można mówić o wolności wogóle, skoro są dwie wolności, z których jedna wyklucza drugą: wolność robienia dobrze... i wolność robienia źle.

* * *

Nigdy się nam tak nie śpieszy, jak wtedy, gdy chcemy popęlnić kapitalne głupstwo.

* * *

Największe głupstwa popełnia człek wtedy, gdy naśladuje kogoś lub zgrywa rolę, do której nie dorósł, lub która obcą jest jego wewnętrznej istocie... Bądź zawsze sobą. J. O.

IWK.

Czarna msza.

Jak ciemno wokół... zimno, grobowo...
Cuchnący mordem zalata wiew...
Na skrzepłych ustach zamiera słowo,
A w żyłach krew...

W krwawych oparach ołtarz połyska,
Kapłana święci już starczy zew:
„Dalej! choć droga przed wami śliska
I pachnie krew!“

Więc poszli... idą... heloci, sługi...
Ich krocie krocie — tak orszak długi...
Idą... choć światło pokoju zgasło...
Hasło... ich hasło:

„Brat?“

„Nie... kat!“

W masce czezych złudzeń zasiadła pycha,
Wściekła niemocą, jak w klatce lew,
Krew... krew chce chlupać z sławy kielicha,
Sycić swój gniew...

Krwia skwitły szable, grzęzną w niej kule...
Kapłana krwawy wszedł ogniem siew...
Matki śmiertelne szyją koszule...
Leje się krew... i bratnia krew...

Czy to już koniec tej czarnej mszy?
Cóż ze popłyną i krwawe lzy —
Proporzec krwią się zabryzga kraśną...
Hasło... daj hasło:

„Brat?“

— „Nie... kat!“

Krwawo czerwony ołtarz się świeci
I lony blaskiem pożarnym lśni,
Na nim przekleństwa matek i dzieci —
Ich krwawe lzy!...

Czarna msza w pełni... piętrzą się groby,
Wyje żon, matek mogilny śpiew...
„Milezcie! — to wszystko dla Jutra doby —
Ta bratnia krew!...“

Milezcie!... dla Jutra... dla Jutra chwały
Ten krwią przelaną obfity siew! —
Kraśne proporce dziwnie zadrżały...
Bo na nich krew... i bratnia krew!...